ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 26 czerwca 1909 r. № 26.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

15 Powieść historyczna.

Poprzestała na zapewnieniu, że, choć nie widzi dostatecznych argumentów do tak bezwzględnego potępienia hrabianki Platerówny, jednakże, nie znając jej, poddaje się sądowi Juliusza, i rozmowę chciała odmienić. Grużewski, niby już o czem innem zagadał, niby już zaniechał i podkomorzyny i Liksny, aliści, po kilku zdaniach, znów do hrabianki Emilii trafiał. Marysia dąsała się, Grużewski milkł, szukał nowego tematu, znajdywał go i wnet w pałacu liksnańskiem gościł.

Za czwartym powrotem Juliusza do hrabianki Marysia podniosła się, spojrzała w stronę oparów, unoszących się nad jeziorem, i rzekła z rezygnacyą:

— Czas do domu.

— Prawda, ściemniać się zaczyna. Więc idźmy. Otóż, gdyby Platerówna...

— Ach, znów Platerówna! Mówmy o czem innem!

— Sam jestem za tem—przyznał z przekonaniem Grużewski.

— A więc, zanim stąd wyjdziemy, sądzę, że...

Marysia ucięła w połowie zdania i oczy spuściła.

— Że co?..—podjął Juliusz, nie pojmując zakłopotania Marysi.

„Pulchra“ krożańska zapłoniła się. Poduszkowate jej piąstki zmięły nielitościwie trzymaną chusteczkę, oczy strzeliły z pod nasuniętych brwi, usta roztuliły się ze drżeniem, pierś skłoniła się białemi haftami.

Grużewski zafrasował się.

— Że co?—powtórzył.

Marysia za catą odpowiedź jednym rzutem ciała zawisła mu na szyi, wycisnęła na ustach Juliusza ognisty pocałunek i, jak motyl od kwietnego kielicha, oderwała się i spłynęła między ruiny, ku ścieżce powrotnej.

Odgłos osypującego się pod stopami Marysi gruzu wyrwał Juliusza z konfuzyi.

Grużewski otarł machinalnie usta i podążył za „pulchrą“.

Aż do podnóża ruin zamkowych szli w milczeniu, gęsiego. Dopiero u wejścia na kładkę, zawisła nad błotnistym rowem, Marysia przystanęła i, nie odwracając się, rączkę za siebie wyciągnęła.

— Niech uważa, proszę.

— Dziękuję.

Marysia wbiegła na kładkę, zakołysała się i wskoczyła żwawo na przeciwległy skarp rowu. Grużewski chciał dotrzymać placu swej przewodniczce, lecz tak niezręcznie kładką zachwiał, że, wydostając się na skarp, zepchnął ją w błoto, przyczem ledwie sam nie stoczył się do rowu.

Marysia zachichotała, co Juliusza ubodło.

— Noga mi się zwinęła.

— Ostrzegałam.

— Nie było przed czem.

— Rów głęboki.

— Płytszy, niż Dźwina.

Marysia nic nie odrzekła, Juliusz zaczął znów Dźwinę wpław przebywać i z takim ferworem, że własnej koloryzacyi się zawstydził. Więc dla jej złagodzenia do amazońskiej odwagi hrabianki się zwrócił. Zaledwie atoli imię hrabianki wymówił, Marysia przerwała mu:

— Widzę, że mu hrabianka uroku zadać musiała!

— Uroku? mnie! — zaprotestował Juliusz, krzywiąc twarz do uśmiechu.

Marysia przystanęła na chwilę i wpatrzyła się bystro w twarz Grużewskiego.

— Choćbym nie chciała, muszę supponować.

Juliusz nasępił się. Odezwanie Marysi uraziło go z kretesem.

— Nie zasłużyłem na podobne żarty.

Marysia spojrzała potulnie, serdecznie, jakby przebaczenia szuka-

jąc w oczach Grużewskiego, lecz ten w inną patrzył stronę.

Dwakroć jeszcze, przed dosięgnięciem dworku, „pulchra“ krożańska usiłowała przyjaznem słówkiem rozproszyć niehumor Juliusza—napróżno. Rankor tak głęboki, tak wielki nim zawładnął, że jeszcze do wieczerzy zasiadł chmurny, że ledwie odpowiadał na zwracane doń pytania, że ani postrzegł wysiłków rejenta ku zajęciu go rozmową, ani turbacyi rejenciny, ani napęczniałego noska i zaczerwienionych powiek, z któremi Marysia Raszanowiczówna do stołu przybyła.

Rejentowi tymczasem konceytu już nie stawało, ileże rejencina udaremniała mu pilnie wszelkie do procesu Kossakowskiego z Tyzenchauzami aluzye. Rejent przezwyciężał się, baczył na jejmość, a szukając, czemby gościa z niemowności wyrwać, coraz do kusztyczka sięgał. Aż w kusztyczku właśnie odwagę dla ochoty swej znalazł, bo po dłuższym hauście jeno wąsisków musnął i, nie zważając na żałosne znaki rejenciny, gardłową sprawę Tyzenhauzowi wytoczył. Aliści, zanim obraz zadanego Kossakowskiemu gwałtu w pełni artykułów prawa przedstawił, Grużewski w lot dwa wyrazy pochwycił i z całym impetem uderzył w panów polskich samowolę i niesforność.

Rejent chciał przyświadczyć, lecz miejsca nie znalazł, bo Juliusz sadził na przełaj od niesforności do Targowicy, od Batorego do Sasa, od Rejtana do Nowosilcowa, od Racławic do Inllant i do Platerów. Na Platerach ledwie odsapnął i nuże za oczywisty przykład ich stawić, nuże wyłuszczać, jako mataczyny samolubne ich rozpierają, jako na własne oczy napatrzył się w Liksnie okropności.

Imć Raszanowicz na dźwięk nazwiska Plater poruszył się niespokojnie i zaczął:

— Dobrodzieju mój, pozwól!— Lecz Grużewski odgadł ekscepcyę i udaremnił ją, bo z Liksny śmignął do spraw publicznych i już w czambuł magnataryę miażdżył.

Imć Raszanowicz słuchał a własnym uszom nie wierzył, czyli możliwem jest, aby ten, który sam nielada był pankiem, tak poczciwie, po szlachecku, sądzić potrafił. Ale rejent uie zdołał jeszcze tej wątpliwości całkowicie ogarnąć, gdy naraz zdało mu się, że młody dziedzic Kielm do serca mu się dobrał i wygarnia mu zeń wszystkie, co najmilsze racye, któremi tylekroć razy szarą brać zaściankową do łez poruszał.

Imć Raszanowicza żałość chwyciła, toć i on rad był coś rzec, toć i on sam powiadać de publicis lubił. A tu jeden wywód za drugim, niby jego własne, niby rodzone, a tu, choć rejent z ustami wpółotwartemi na wtrącenie sylaby czatował, Grużewski ani myślał go dopuścić do głosu.

Rejentowi krew się wzburzyła. Pochylił się ku przodowi i, ratując dla się konkluzyę, huknął wielkim głosem:

— Panowie Rzeczpospolitę zgubili!

Lecz, nim tępe echo tego zawołania przebrzmiało, nim omdlewające spojrzenie rejenciny zdołało dosięgnąć rozognionego oblicza imć Raszanowicza, nim Juliusz przerwaną mu myśl związał, od proga ozwał się równy, spokojny głos:

— Prawda, mości rejencie, panowie zgubili, a szlachta im dopomogła.

— Jakto szlachta!—uniósł się imć Raszanowicz, nie bacząc, skąd głos pochodził; lecz równocześnie panna Marysia zawtórowała mu ze zdumieniem:

— Toć ojciec Jasieński!

Rejent jeszcze ostrzeżenia bratanicy nie pojął, gdy tuż przy stole zajaśniał biały habit dominikanina.

Zamęt się wszczął w komnatce. Rejencina z Marysią, a za niemi rejent, porwali się witać gościa, sumitować się, do wieczerzy przybyłego zapraszać, prezentować Juliusza a krzyżowemi zdaniami sypać. Dopieroż kiedy zakonnik przy stole zasiadł a posilać się zaczął, ucichło nieco.

Nie na długo wszakże, bo rejent wnet zagadnął.

— Więc ojciec dobrodziej z Posinia znów do Oszmiany?

— Misyę klasztorną odprawiałem i wracam.

— I cóż tam w Oszmianie? Wszak-ci to świat szeroki, podwileński!

— Nic dobrego—odrzekł niedbale zakonnik.—Kuso i u nas. Nikt swego nie pewny. Pan Chrapicki Chrapowickim się przezwał i dokazują z Nowosilcowem. Akademików dręczą, szlachtę biorą na śledztwa... wyżyć trudno.

— Hm, ale bo też ludziska na okrutnych mazgajów zeszli, byle isprawnikowi dają czynić, co mu się podoba. Dawniejby takiego do trybunału, na sąd, z paragrafami do oczu, ze świadkami i bodaj przez wszystkie instancye, niechby do trzeciego pokolenia proces trwał, byle sprawiedliwość ocalała!

Zakonnik pochylił głowę tak, że wygolonem ciemieniem rejentowi się skłonił.

Imć Raszanowicz postrzegł kruchość swej racyi.

— Niechybnie, ciężkie termina przyszły. Zakon ani kosteczki z *volumina legum* nie zostawił. Lecz na zakon z zakonem trzeba iść, pozwów nie żałować, do senatu łomotać, do Peterburka!

— Daleka droga!

— Więc się brać na Warszawę, będzie krótsza.

Ojciec Jasieński dwoma rzędami młodych, równych zębów łysnął.

— Na Warszawę!

— A juści! Toć sejm, sejm, ojcze Ludwiku, a sejm wszystko mocen! Cóż, że niby do Kongresówki jednej ma się stosować. Laska marszałkowska, choćby, czego nie imaginuję, sprzeciwiać się chciała, nie poradzi. Poseł wnosi rzecz z odwołania się do paktu wiedeńskiego! O właśnie, toć w tem sedno. Potencye gwarantowały nam swobód zachowanie, tedy sejm warszawski, postrzegając...

— Ufasz więc, rejencie, w sejmu warszawskiego potęgę!

Imć Raszanowicz sponsowiał na tę oczywistą herezyę, lecz zmiarkowawszy, iż trudno wymagać od zakonnika rozumu statysty, jął mu wystawiać, jak srogiego dopuszcza się błędu.

DCN.

MARZYCIEL.

— Wszystko to fraszki, małe ptaszki! Opowiem wam, co mi się zdarzyło jesienią. Żarty na bok! Świderski może potwierdzić, jechał wtenczas ze mną. Prowadziłem pociąg gospodarczy. Muszę się przyznać, że zawsze wożę na maszynie swoję pukawkę. Nie wiadomo bowiem dnia ani godziny! Wyjechaliśmy z Rudki bardzo wcześnie, po wschodzie, jeszcze siwa rosa leżała na trawach. Ciągnąłem siedemdziesiąt osi, naładowanych pokładami; pod górę na pięćdziesiątej czwartej wiorście ciężko było, maszyna robiła bokami, jak koń... Naraz trąca mnie Świderski i krzyczy: kot! kot! Przecieram oczy, patrzę—śmiga, jucha, ku plantowi; dałem gwizdkę, żeby nie wpadł pod koła, nie spłoszył się, rznie prosto na maszynę. Myślę sobie: wygarnę do niego, a nuż... Strzeliłem — kot bęc, ani grzebnął nóżką! Przyniósł go Świderski... stary gracz, uszy miał potrzepane śrócinami. Byłem rad, że żonie przywiozę niespodziankę. Zwaliliśmy podkłady na sześćdziesiątej i tylko co ruszyłem, pokazuje się od lasów koziołek, sypie prosto na pociąg. Powiadam wam, aż mnie w dołku ścisnęło; zahamowałem maszynę, strzelbę do oka... czekam... serce łomocze mi, jak młot... a on sadzi... rznie, psiakrew, przez zagony, jak kołyska, podpuściłem go na strzał i, chociaż było ze sto kroków, gruchnąłem w samą komorę. Nie krzyknął nawet: Jezus, Marya! i gotowy! Chwała Ci, Panie na wysokościach! Ledwieśmy go wtaszczyli na tender. Posłałem go swojemu naczelnikowi, nie mógł się nadziwić! Ale czy uwierzycie, że to jeszcze nie wszystko! Jak Boga kocham, to był prosto cudowny dzień, bo tylko co dałem parę i pociąg ruszył, a tu jak się nie sypną z zagajów sarny, żebym zdechł, jak pies, jeżeli łżę, ale było ich kilkadziesiąt, i wszystkie pognały z bekiem za pociągiem. Zdrętwiałem...

— Leciały z chusteczkami w rękach, płakały za koziołkiem.

— Mówię wam, włosy mi powstały na głowie, nabiłem siekańcami obie lufy...

— Słuchaj, Soczek, jak mi jeszcze raz strzelisz i zabijesz sarnę, to ci dam w pysk! — zakrzyczał naraz dozorca.

Wszyscy buchnęli śmiechem, a Soczek szepnął żałośnie:

— Strzeliłem, ale spudłowałem! Haniebnie spudłowałem, niech Świderski powie... Ale opowiem coś jeszcze lepszego!—zawołał, nalewając nową porcyę krupniku, nie zdążył jednak zacząć, gdyż przystąpił do nich inżynier i odezwał się dosyć cierpko, kręcąc zapamiętale słomianą, rzadką bródkę:

— Panom bardzo przyjemnie, ale trzebaby się dowiedzieć, jak się bawią pasażerowie.

— Można! Jasiek, zapalić pochodnię, pan inżynier pójdzie do pociągu! A ruszać się, chamy, prędzej! — ryknął dozorca, nie ruszając się z miejsca.

— A może i pan pójdzie?— pytał dosyć rozkazująco.

— Jak się trochę wiatr uspokoi, to przyjdę z ludźmi do roboty, a teraz nieciekawym pasażerów i nie śpieszy mi się! — odpowiadał opryskliwie.

Młodzian się zaczerwienił i, otoczony pochodniami, ruszył ku pociągowi.

— Chłystek jeden! myśli, że jestem na jego posługi. Kaczyński, nie śpij pan!—zawołał trącając swojego pomocnika, który się kiwał zawzięcie.

Kaczyński podniósł głowę, wygładził wspaniałą, szpakowatą brodę, zapalił fajkę i rzekł:

— Racya fizyka, Kaśka butów nie ma! Niech się wielmożna małpa pofatyguje sama.

— A wystroił się na linię, jakby do dyrekcyi—drwił dozorca.—Lakiery, płytkie kalosze, szynelek, czapeczka z gwiazdką, formienno od stóp do głowy!

— Onże inżenier, putiejec, to się boi, żeby go nie wzięli tylko za człowieka.

— Ale liberał!—wtrącił gruby, zasapany nadkonduktor ekspresu.— Podobno miał grubą historyę z żandarmami, ledwie skończył Instytut!

— Liberał, a jak dostał posadę, to mu najmilszy brat wachmistrz i pannie Marychnie zrobił awanturę, że w bufecie odezwała się do niego nieurzędowo. Psia ich mazurska mać, już mi bokiem wyłażą takie liberały!

— I nikomu nie podaje ręki!— dorzucił któryś z urzędników.

— Pokaż mu, bracie, stówkę, a wyciągnie do ciebie obie!

Pogadywali bardzo swobodnie, gdyż wachmistrz poszedł z inżynierem, ale dozorca machnął w końcu ręką, przyjrzał się niebu, pociągnął nosem i rzekł:

— Za jaką godzinę weźmiemy się do roboty! Ustaje i wiatr coś mięknie, ma się na odwilż. Kaczyński, nie śpij pan!

— Kto śpi na biwaku, ten czuwa za wszystkich! — mruknął Kaczyński, zapalił zagasłą fajkę, pociągnął parę razy i znowu zadrzemał.

— Czy naprawdę on był w powstaniu?—pytał Świderski, nachylając się ku dozorcy.

— A był, ma nawet wspaniałe dokumenty!

— Dokumenty! To niby świadectwa, co?

— A tak! Plecy i boki zorane nahajami, jak zbronowane pole! A w dodatku pokłuli go bagnetami, parę razy przestrzelili, potem trochę podyndał, ale że się szczęśliwie oberwawszy, to dla dokończenia kuracyi powędrował na piętnaście lat do katorgi. A teraz odpoczywa sobie szlachcic na tłustej posadzie starszego robotnika, którą mu wyżebrała jego żonka!

— To wprost nie do uwierzenia!

— Sam patrzałem na niejedno, uważa pan dobrodziej!

— To i pan też był...

Aż się zachłysnął z podziwu i zdumienia.

— A cóżeś pan myślał, że ja całe życie tylko chamów biłem po mordach, albo na jakim ciepłym przypiecku kury macałem! Żyło się, panie, kiedyś inaczej, żyło się bujnie, chmurnie i górnie, i wzięło się za to niezgorzej po łbie! Spytaj się pan Raciborskiego; on powie, jak to z nami bywało!

— Nie może mi się tylko w głowie pomieścić, co pan mówi o Kaczyńskim! Przecież on z wachmistrzem za pan brat i z wszystkiego się wyśmiewa!

— Zdarło się chłopisko aż do podszewki! Cóż pan chce? Oddał całe życie i całą fortunę dla sprawy, i wszystkie marzenia dyabli wzięli! A przytem bieda... ma rubelka na dzień, żonę i sześcioro dzieci; wyżyj pan z tego! Nic dziwnego, że go gryzie wszystko i że troski zalewa. Pod dozorem jest jeszcze ciągle, to i z różnemi figurami się przyjaźni, aby go nie wyleli z posady!

— A ona podobno nie nasza?

— A nie nasza, i dzieci też, przywiózł je z daleka! Baba z piekła rodem i prawowierna do szpiku. Byłem kiedyś u nich. Powiadam panu, jakby mnie kto pałą uderzył w ciemię, tak mnie zamroczyło. W mieszkaniu mają nawet porządnie i czysto, ale po rogach wiszą złociste ikony, a na ścianach portrety w koronach i kokosznikach, a dzieci chodzą w czerwonych rubaszkach. Nieszczęsny człowiek! Nie bronię go, tylko mi strasznie żal! Psiakrew, ta polska dola!

Zaklął i, dźwigając z trudem potężny brzuch, huknął grzmiąco na robotników:

— Wstawać psiekrwie! Do roboty! Kaczyński, nie śpij pan! zaczynamy!

Kaczyński jął się przeciągać ociężale, a Soczek, zlewając pod światło ogniska resztki krupniku do pękatej butelki, również zakrzyczał:

— Świderski na maszynę! Rób pan parę, zaraz ruszamy!

Ludzie zaczęli się zbierać przed maszynami a ruszać dosyć senną i bezładną falangą, zaś dozorca, niby pies owczarski, opędzał całe stado, krzyczał, poganiał kijem i pięściami a siarczyście przeklinał.

Tylko Józio nie ruszał się z miejsca i drzemał wpatrzony w rozżarzone głownie.

Wicher prawie ustał, lasy szumiały coraz ciszej, zamieć już tylko niekiedy, jakby przez sen, wzdymała się w kłęby, zasypując dogasające ognisko.

Niebo pociemniało i śniegi jęły się nieco wyłaniać i majaczyć posępną, nieskończoną szarością; roztoczyła się głucha i cicha noc, jakby zmordowana wyczerpaniem i sennością, tylko chwilami zajęczały żałośnie druty telegraficzne, niby zbolałemi palcami trącane, albo gdzieś daleko, w jakichś wsiach niedojrzanych, zaszczekały psy.

Ale przy zasypanym pociągu wrzała gorączkowa praca i nieustanny ruch; światła pochodni, dokoła pozatykanych, jeszcze się niekiedy szarpnęły, rozsiewając krwawe, migotliwe brzaski; w których mrowiły się tłumy robotników i błyskały żelazne łopaty, wybuchały gwary i nawoływania, świsty parowozowych gwizdawek przeszywały powietrze, sapały ciężko maszyny, szczękały koła, rozlegał się głuchy łomot buforów, rozbijających resztki zasp, dozorca krzyczał coraz to w innej stronie, a sypki, monotonny odgłos wyrzucanych śniegów roznosił się, jak szum. Praca szła śpieszna i nie ustająca już ani na mgnienie.

A Józio przebudził się w jakiejś chwili, rozejrzał się zupełnie przytomnie i poszedł do brankardu, odczepionego od maszyny. Soczek napoił go krupnikiem i otulił ogromnym, ciepłym kożuchem, że zasnął, nie troszcząc się już o nic i o nikogo.

DCN.

Włodzimierz Perzyński.

MAJOWE ŚWIĘTO.

I.

Rano, pierwszego maja, Władek Zieliński, młodziutki technik, który się utrzymywał z robienia rysunków budowniczym, spotkał w Alejach Jerozolimskich, nawprost dworca Wiedeńskiego, pannę Manię Szymkiewiczównę, urzędniczkę ze stacyi telefonów. Ujrzawszy ją, uśmiechnął się wesoło i począł kręcić głową, jakby na znak wielkiego podziwu. Panna Mania zaczerwieniła się. Miała na sobie tego ranka nowy wiosenny kostyum z szarego materyału, który tak elegancko wyglądał, jak gdyby pochodził z najpierwszorzędniejszego magazynu.

Fiu, fiu—krzyknął Władek, wyciągając ku niej rękę na powitanie — a to się pani wystroiła. Nie poznałem pani zdaleka.

Słysząc tę pochwałę, panna Szymkiewiczówna zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

— Święto—odparła, jak gdyby usprawiedliwiając się ze swej elegancyi.

Władek zresztą również był wystrojony świątecznie. Miał bardzo wysoki kołnierzyk, tak że musiał wyciągać szyję, żeby módz swobodnie poruszać głową i jaskrawą czerwoną krawatkę.

— A reszta gdzie?—zapytał po chwili.

— Ech, nim się oni wygramolą, to już i pochód przejdzie—odparła panna Mania z lekceważeniem.

„Reszta“ była to jej rodzina, matka i dwie młodsze siostry, przezywane w języku domowym zazwyczaj krótko „smarkate“. Dzięki wpływom Władka i paru młodych ludzi, jego przyjaciół, którzy bywali stałymi gośćmi w domu państwa Szymkiewiczów, cała rodzina wyznawała zasady skrajnie rewolucyjne. Pani Szymkiewiczowa była wdową po urzędniku kolei nadwiślańskiej, który miał brata księdza na prowincyi. Otóż ten ksiądz, podobno bogaty, nie tylko po śmier-

ci Szymkiewicza wbrew wszelkim nadziejom i oczekiwaniom nie przyszedł wdowie i sierotom ze znaczniejszą pomocą, ale wogóle tak się zachowywał, jak gdyby chciał zerwać wszelkie stosunki. To panią Szymkiewiczową usposobiło antiklerykalnie. A ponieważ całe jej życie składało się z samych trosk i kłopotów (nieboszczyk Szymkiewicz był porządny człowiek, ale strasznie słabego charakteru i, właściwie mówiąc, zapił się), więc idee o niesprawiedliwości społecznej od dzieciństwa drzemały w niej nieuświadomione. Jak sama mówiła, nie potrzebowała książek na to czytać, żeby wiedzieć, że na świecie wszystko się na wzajemnym wyzysku opiera.

Panna Mania miała za złe matce to łączenie spraw ogólnych ze zmartwieniami osobistemi. Dlaczego—tegoby nigdy nie potrafiła była ściśle określić słowami. Zdarzało jej się czasami mieć w głowie jakąś melodyę i nie módz jej wyśpiewać, mimo, że ta melodya wciąż i wciąż ją prześladowała. Tak samo pewne myśli nie chciały jej się nigdy układać w słowa — sama czuła je doskonale, ale tak właśnie, jak się czuje muzykę.

Kilka kroków uszli w milczeniu. Panna Szymkiewiczówna podniosła do ust rękę, tłumiąc ziewanie, od którego nie mogła się powstrzymać. Władek spostrzegł jej ruch.

— Nie wyspała się pani dzisiaj?

— Nie—odparła z uśmiechem.

Rzeczywiście miała oczy zaczerwienione zlekka od bezsenności. Położyła się już o świcie, gdyż całą noc zajęło jej wykończanie kostyumu, który sama szyła oddawna, przejęta tą radosną myślą, że go właśnie pierwszy raz włoży na pierwszego maja.

— I ja się późno położyłem— odezwał się Władek.

— A co pan robił?

— Nic. Byłem u jednego faceta i zagadaliśmy się. Potem już koło pierwszej wyleźliśmy na miasto i wstąpiliśmy jeszcze do baru na piwo. Tam spotkaliśmy tego rudego żydka Perlberga.

Umilkł. Przypomniała mu się wczorajsza żywa sprzeczka z Perlbergiem. Zostało mu po niej niemiłe wrażenie niesmaku. Bo właściwie Perlberg miał racyę najzupełniejszą, ale Władek nie chciał mu jej przyznać i sprzeczał się z nim naumyślnie, ulegając jakiejś nerwowej niepohamowanej chęci opozycyi. Ostatecznie doprowadziło go to do tego, że zajął już nieomal nacyonalistyczne stanowisko i palnął w rozmowie parę głupstw, których żałował dzisiaj. W głębi duszy Władek bardzo nie lubiał żydów. Było to uczucie, którego się zresztą sam przed sobą zapierał, wiedząc, że podział na narodowości wymyślili burżuazyjni uczeni, opłacani przez fabrykantów,—ale czasami, zwłaszcza gdy był podniecony trochę, nie mógł się powstrzymać, aby nie dać owej niechęci ujcia.

Po chwili ciągnął dalej.

— Siedzieliśmy tam, dopóki nas nie wyleli. Potem odprowadziłem Bolka do domu. Strasznie się wczoraj szpicle po mieście kręciły. Jakem wracał, spotkałem trzech na samej Marszałkowskiej.

— Pan od razu szpicla pozna na ulicy?

— A cóż trudnego?

Panna Szymkiewiczówna uśmiechnęła się zlekka. Ta spokojna pewność siebie, z jaką Władek mówił, budziła w niej nieokreślony podziw dla jego doświadczenia i sprytu. I w tem poczuciu, że ona sama nigdyby mu nie potrafiła dorównać, było coś niesłychanie rozkosznego.

— Ale, widzi pani, że ani jednej dryndy dziś niema na mieście.

— Nie.

Byli ze sobą na „pan i pani". Tak się jakoś dziwnie stosunek ich ułożył. I choć oboje zdawali sobie sprawę, że ta forma gramatyczna jest przeżytkiem opartej na fałszu etykiety burżuazyjnej, jednak zachowywali ją w rozmowach.

— I wszyściuteńko pozamykane.

— Tak jeszcze nigdy Warszawa nie wyglądała... Nawet w pierwszy dzień Bożego Narodzenia.

Oboje parsknęli wesołym śmiechem, i oczy zabłyszczały im radością i dumą.

Świąteczny nastrój miasta udzielił im się, przejął ich uroczystą powagą. Mimowoli wzięli się za ręce i szli w milczeniu, zapatrzeni przed siebie. W dalekiej perspektywie Alei Jerozolimskich nie widać było ani jednej dorożki, ani jednego wozu, nawet chodniki były puste. Gdzieniegdzie tylko przed bramami domów wystawali jacyś ludzie. I wszystko aż się skrzyło od słońca—zdawało się, że ulica jest szersza, a ściany domów jaśniejsze, niż zwykle, jakby świeżo wymyte. Wysokie, smukłe konary drzew, sięgające trzeciego piętra kamienic, nie straciły jeszcze wiosennej czarności, i poprzez młodą zieleń niedawno rozkwitłych liści przeglądały muskularne ramiona gałęzi. Od czasu do czasu z dołu, od strony Wisły, powiewał świeży, łagodny wiatr i wówczas liście na wierzchołkach drzew mieniły się jasnym blaskiem, jak gdyby były z jednej strony srebrne.

Tak było cicho, że kroki rozlegały się na chodniku, jak w nocy. Raz czy dwa tylko z poza parkanu, oddzielającego ulicę od plantu kolei Wiedeńskiej, doleciał krótki, urwany świst lokomotywy i po nim głuchy szczęk uderzających o siebie wagonowych buforów, który zamierał z metalicznym pobrzękiem.

Władek i panna Szymkiewiczówna szli, jakby olśnieni tą słoneczną ciszą. Nagle ona, obejrzawszy się mimowoli, ścisnęła go kurczowo za rękę.

— Widzi pan.

Odwrócił głowę. Na placu przed dworcem kolei Wiedeńskiej o kilkaset kroków za nimi wyciągnięty w długą linię stał patrol piechoty. Zdaleka tak to wyglądało, jak gdyby mur wyrósł nagle z pod ziemi i zagrodził wylot ulicy.

— Idą...

Władek wydął pogardliwie usta. Ale się zatrzymał i z zaciekawieniem patrzał na posuwającą kolumnę wojska. Oddział jednak, doszedłszy do rogu pierwszej przecznicy, zmienił nagle szyk i skręcił w bok. Wtedy oboje zaczęli się śmiać i przekpiwać z żołnierzy.

Władek wyciągnął z kieszeni rewolwer i błysnął nim przed oczami towarzyszki.

— Ładna sztuka.

— Ma pan? — krzyknęła zdumiona.

— Wczoraj dostałem.

Z jakiemś nieokreślonem wzruszeniem patrzała na czarną oksydowaną lufę brauninga, z której blask słońca krzesał niebieskawe połyski.

Ale trzeba było przyśpieszać kroku. W miarę jak się zbliżali do końca Alei, na ulicy ruch się zwiększał. Zewsząd nadciągały gromadki manifestantów. Niebawem, przeszedłszy przez plant kolejowy, spotkali na Żelaznej ulicy pierwsze szeregi pochodu, który już ciągnął, ale jeszcze nieuformowany i w nieładzie. Od razu znaleźli się w tłoku. Pannie Mani żwawiej zabiło serce.

Niech się pani trzyma mnie teraz—szepnął jej Władek—żeby się nie pogubić.

Ujęła go silnie pod rękę. Aż jej się w głowie zakręciło od tego mrowia ludzkich twarzy i gwaru głosów, który falował, jak litanja w kościele. Władek witał się na prawo i na lewo.

To wszystko nasi—objaśniał ją z dumą.

Ktoś nawoływał: „Towarzysze, do szeregu!"

Coraz silniej trzymała się Władka, na bladą anemiczną twarz jej wystąpiły rumieńce, serce poczęło bić tak mocno, że przełożyła parasolkę do tej ręki, którą trzymała pod ramię Władka, a drugą wolną przycisnęła do piersi. Włosy jej się potargały. Czuła, że zgubiła dwie szpilki, ale już nie czas było poprawiać!

Gdzieś wybuchła gwałtowna sprzeczka:

Nie pchać się!.. Bo co to bachorów ze sobą ciągać!.

Nagle zbladła, gwałtowne wzruszenie zatamowało jej oddech w piersiach. Pierwsze nuty rewolucyjnej pieśni uderzyły w powietrze.

DN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

26

Głos jej był wzywający i rozkazujący. Nakazywał on Androwskiemu wzmódz się, mówić, jak dotknięcie bata nakazuje koniowi przyśpieszyć kroku. Androwski podniósł głowę, która była opuszczona na piersi przez cały czas, jak szedł.

— Palmy! — rzekł roztargniony.—Tak jest, są one przedziwne.

— Pana interesują drzewa?— zapytał hrabia, idąc śladem Domini i mówiąc z widocznym zamiarem zagajenia rozmowy.

— Tak jest, oczywiście.

— Mam tu kilka nadzwyczajnych gatunków. Po śniadaniu pozwoli pan, że mu je pokażę. Całe lata pędzę tu na gromadzeniu moich dzieci i na uczeniu ich, by rosły prosto w pustyni.

W sposób naturalny, gdy mówił, złączył się z Androwskim i szedł teraz razem z nim, wskazując różne odmiany drzew. Domini doznała uczucia ulgi i wielkiego uczucia wdzięczności dla gospodarza domu. Za tem uczuciem wdzięczności przyszło tuż mniej przyjemne przeświadczenie, że Androwski nie jest dobrze wychowany. Dnia tego, może to niedorzeczne, ale czuła się jakgdyby odpowiedzialną za niego i jakgdyby on dla niej winien był sprawować się dzielnie i panować nad swemi nieupodobaniami, w razie gdyby były sprzeczne z uczuciami jego towarzyszów. Tak wielce, tak gorąco pragnęła, by zrobił dobre wrażenie, że gdy wzrok jej spotkał się z wzrokiem księdza Roubier, prawie że chciała prosić go o przebaczenie za niegrzeczność Androwskiego. Ksiądz atoli zdawał się być nieświadom tego i począł mówić o przepychu roślinności afrykańskiej.

— Czy panią nie dziwi ta świetność po Anglii?—rzekł.

— Nie — odrzekła nikle.—Od chwili, jak jestem tu w Afryce, wciąż czuję, że jestem w kraju gwałtownego urastania.

— A pustynia? — odrzucił z gestem ku długim obszarom Sahary, które były widzialne zpośród drzew.

— Powinnam znaleźć w niej to samo — odrzekła.—Może nawet w niej bardziej, niż gdzieindziej.

Spojrzał na nią z uprzejmem zdziwieniem. Nie tłomaczyła mu, że miała na myśli urastanie nie przyrody.

Jadalnia znajdowała się na końcu szerokiej alei palmowej, nieopodal od willi. Z obu stron białych schodów, które wiodły do przedpokoju, zapełnionego kanapami i stolikami do kawy, stali dwaj służący arabscy. Poza tem był obszerny apartament ze sklepionym dachem, w którego środku stał stół owalny, nakryty do śniadania, ozdobiony mnóstwem szkarłatnych w kształcie wygiętych kielichów kwiatów w srebrnych naczyniach. Za każdem z czterech o wysokich oparciach krzeseł stał arab, jak posąg, bez ruchu. Przyjęcie hrabiego było, oczywiście, połączone z całą wielką ceremonią. Domini sprawiło to przykrość, chociaż nie ze względu na nią. Przez całe życie przywykła do okazałości i uważała ją, jako zwykłą kolej, niemal tak, jak powietrze, którem oddychała. Obawiała się atoli, że dla Androwskiego będzie to nowem i niemiłem. Kiedy weszli do ocienionej komnaty, spostrzegła, jak Androwski rzucił szybko okiem na ściany, pokryte ciemnemi perskiemi makatami, na służących w haftowanych kaftanach, szerokich spodniach i śnieżnie białych turbanach, na żywe kwiaty na stole, a potem na wielkie okna, na których były zapuszczone ruchome od zewnątrz sztory, koloru ciemno-zielonego; i zdawało jej się, iż on czuł się, jak zwierz pojmany, pełny wściekłości nieporęcznej. Błogość niefrasowna księdza Roubier pośrodku przepychu, do którego on wcale nie przywykł, podniecała tajemne wzburzenie Androwskiego, które nie było tajnem dla Domini i które—wiedziała o tem—musiało być widocznem dla hrabiego Anteoniego. Poczęła żałować gorąco, że nie pozwoliła Androwskiemu pójść za popędem, gdy chciał opuścić ogród, dowiedziawszy się o obecności księdza.

Siedli do stołu. Domini była z prawej strony hrabiego, Androwski był naprzeciw niej, a ksiądz Roubier z lewej. Zanim zajęli miejsca, Domini i ksiądz zmówili po cichu krótką modlitwę i przeżegnali się znakiem krzyża: poczem gdy rzuciła wzrokiem, ujrzała, że ręka Androwskiego podnosi się do czoła. Przypuszczała przez chwilę, że on też przyłączył się do modlitwy i jest w trakcie uczynienia znaku krzyża, lecz gdy spojrzała na niego, ręka jego opadła ciężko na stół. Na stole zadźwięczały szklanki.

— Dziś dopiero przypomniałem sobie, że to post—rzekł hrabia Anteoni, rozkładając serwetę. — Obawiam się, księże Roubier, że nie odda ksiądz całej słuszności memu mistrzowi, Hamdanowi, jakkolwiek z myślą o księdzu starał się on jak najlepiej. Lecz mam nadzieję, że panna Enfilden i...

— Ja poszczę w piątki—wtrąciła Domini spokojnie.

— Tak? Biedny Hamdan!

Spojrzał z poważną troską w oczach, lecz Domini wiedziała, iż w gruncie był rad z tego, że ona zachowuje posty.

— W każdym razie — ciągnął dalej,—mam nadzieję, że pan, panie Androwski, przyłączy się do mnie, w pełni kosztując kunsztu Hamdana... A może i pan...

Nie dokończył, bowiem Androwski rzekł odrazu głosem mocnym i głośnym:

— Nie obserwuję postów.

Słowa te dźwięczały, jak wyzwanie, rzucone dwojgu katolikom, i Domini przez chwilę myślała, że ksiądz Roubier podejmie je, jako rękawicę, wzniósł bowiem głowę i blask ognia zamigotał w jego oczach. Lecz rzekł tylko, zwracając się do hrabiego:

— Sądzę, że panna Enfilden i ja wyjdziemy dobrze na naszym

małym Ramadanie. Jadłem raz śniadanie z panem w piątek—dwa lata temu, jeśli się nie mylę — i dobrze pamiętam, jaką mi pan ucztę sporządził.

Domini czuła, że ksiądz dociął Androwskiemu w sposób, w jaki człek świątobliwy może dociąć, nie wiedząc o tem. Zła była na Androwskiego i współczuła mu jednocześnie. Dlaczego nie podejmuje on uprzejmości wdzięcznem sercem? W zachowaniu jego było coś prawie nieludzkiego. Przedstawiał się dzisiaj najniekorzystniej, — jak człowiek, który dwa razy potraktował ją z brutalną szorstkością.

— Czy istotnie arabowie zachowują tak ściśle Ramadan? — zapytała, przenosząc wzrok z Androwskiego.

— Bardzo ściśle—rzekł ksiądz Roubier. — Jakkolwiek, oczywiście, nie sympatyzuję z ich religią, bardzo często jestem wzruszony ich przywiązaniem do przepisów religijnych. Jest coś bardzo wielkiego w sercu ludzkiem, co rozważnie nakłada na siebie jarzmo dyscypliny.

— Islam—samo słowo znaczy poddanie woli ludzkiej woli Boga— rzekł hrabia Anteoni.—Słowo to i jego znaczenie leżą, jak cień ręki nakazującej na duszy każdego araba, nawet na duszy nałogowego pijaka absyntu, którego tu spotkasz nierzadko, jako spadkobiercę wad swoich ujarzmicieli. Nawet śród największych złoczyńców, których kryje płaszcz Proroka, zachowuje się niezłomne uczucie konieczności tego poddania. Arabowie w żadnym wypadku nie szemrzą na swego Stwórcę, jak muszki, któreby się miotały na słońce, w którego promieniach wirują.

— Tak jest — przytwierdził ksiądz.—W tem swojem poszanowaniu są oni wyżsi od wielu, którzy się mienią chrześcijanami. Pycha ich jest ogromna, lecz nie czyni ich ona nigdy śmiesznymi.

— W tem znaczeniu, że nie próbują stać wpoprzek woli Bożej?— rzekła Domini.

— Oczywiście, pani.

Pomyślała o swym zmarłym ojcu.

Służący uwijali się bez szelestu przy stole, podając różne potrawy. Jeden z nich w trakcie tego nalał czerwonego wina do szklanki Androwskiego. Ów wyrzucił krótki okrzyk, który dźwięczał, jak początek protestu, szybko zahamowany.

— Może pan woli białe wino?— rzekł hrabia Anteoni.

— Nie, dziękuję panu.

Podniósł szklankę do ust i wychylił ją do dna.

— Czy pan jest znawcą wina? — dodał hrabia.—Jest to wino z mojej własnej winnicy. Mam ją około Tunisu.

— Jest ono doskonałe — rzekł Androwski.

Domini zauważyła, że mówił on głośniej, niż zwykle, jak gdyby czynił stanowczy wysiłek wybrnięcia z rozterki, która go widocznie tłoczyła. Jadł on z przejęciem, wybierając prawie ostentacyjnie potrawy, w których było mięso. Lecz wszystko, co czynił, nawet to jedzenie mięsa, sprawiało wrażenie, iż w sposób subtelny, którego nie mogła zrozumieć—niedowierzał nie tylko księdzu, lecz i sobie zarazem. Od czasu do czasu rzucała na niego naprzestrzał spojrzenia i za każdym razem, gdy to czyniła, on odwracał od niej oczy. Pochwaliwszy wino, zapadł w milczenie, i hrabia Anteoni pod wpływem, jak Domini sądziła, bardzo obrzedniego uczucia delikatności, nie zwracał się już do niego wprost, lecz podjął rozpoczętą rozmowę o arabach, objaśniwszy uprzednio, że służący nie rozumieją po francusku. Mówił o nich z tą drobiazgową znajomością, która wypływała widocznie z bardzo rzetelnego umiłowania, i Domini nie mogła się powstrzymać, żeby nie wtrącić:

— Widzę, że pan kocha arabów bardziej, niż kogo z europejczyków—rzekła.

On spojrzał na nią swemi jasnemi oczyma, i Domini pomyślała, że patrzały one jaśniej, niźli przedtem.

— Z czego pani to wnosi? — zapytał spokojnie.

— Czyż pan nie zna dźwięku mowy, jaki spływa w głosie miłośników dzieci, gdy mówią o swem dziecku?

— Ah!—nuta głębokiej pobłażliwości?

— Słyszę ją w pańskim głosie, ilekroć mówi pan o arabach.

Mówił pół-żartobliwie. Przez chwilę nie odpowiadał. A potem rzekł do księdza:

— Ksiądz mieszkał długo w Afryce. Czy i ksiądz ma coś z tych samych uczuć dla tych dzieci słońca?

— Tak jest, i to samo uczucie mogłem był widzieć w naszym zmarłym kardynale.

— Kardynale Lavigerie.

Androwski pochylił się nad talerzem. Zdało się, że naraz pragnie gwałtownie odwrócić myśl swoję od tej rozmowy, w której nie brał żadnego czynnego udziału, jak gdyby odmawiał nawet słuchania jej.

— Był to bohater, wiem o tem—rzekł hrabia z serdecznem uznaniem.

— Dużo mu zawdzięczam.

— Afryka również. Był to człowiek mądry.

— Pan to rozumie w znaczeniu osobliwem?—rzekła Domini.

— Tak jest. Patrzał on nadto głęboko w ciemną duszę człeka pustyni, by nie zrozumieć, iż osiągnie nad nią władzę jedynie przez dobroć dla jego ciemnego ciała. To gorszy księdza?

— Nie, nie! W tem tkwi szczera prawda.

Lecz ksiądz przytwierdził raczej ze smutkiem.

— Mahomet myślał za wiele o ciele—dodał.

Domini spostrzegła, że hrabia zaciął usta. A potem zwrócił się do Androwskiego i rzekł:

— Czy pan sądzi tak samo?

Była to stanowcza, ostateczna próba wciągnięcia gościa do rozmowy. Androwski nie mógł nie wiedzieć o tem. Spojrzał niechętnie z nad swego talerza. Oczy jego spotkały się z oczyma Domini, lecz natychmiast skierowały się w inną stronę.

— Wątpię—rzekł.

Zatrzymał się, położył ręce na stole, ujmując skraj jego, i ciągnął dalej z mocą, a nawet z rodzajem silnego uniesienia:

— Wątpię, czy ludzie najlepsi lub ci, którzy uchodzą za najlepszych, myślą za wiele o ciele i za wiele je poważają. Takiem było moje zdanie. I takiem jest stale.

Skończywszy, spojrzał na księdza prawie groźnie. A potem, jakby ruszony myślą, która szła za tem, dodał:

— Co się tyczy Mahometa, wiem o nim bardzo niewiele. Lecz być może osiągnął on swój wielki wpływ, uznając, iż ciało człowieka jest rzeczą wielkiej wagi, palącej, palącej wagi.

Domini zauważyła, iż zajęcie się hrabiego gościem wzbudziło się naraz bardzo żywotnie na skutek tego, co był on powiedział, więcej nawet może na skutek szczególnego sposobu wypowiedzenia, który jak gdyby powstał pod siłą jakąś tajemną, pobudką niezwalczoną. I zajęcie się to hrabiego zdało się sprzymierzać z jego sprawą, która miała istnienie daleko trwalsze. Ksiądz Roubier wtrącił atoli nieco chłodno:

— Sądzę, że jest to rzeczą niebezpieczną nastawać na wagę znikomego. Ryzykuje się wtedy, iż rzecz większej wagi nieznikomego może być narażoną na szwank.

— Jednakże jest ono tym zgłodniałym wilkiem, który zjada dobytek—rzekł Androwski.

Stała się cisza na chwilę. Ksiądz Roubier patrzał wprost przed sie-

bie, lecz oczy hrabiego Anteoniego utkwiły się przenikliwie w Androwskiego. W tejże atoli chwili od przedpokoju doleciał dźwięk muzyki afrykańskiej, razem pieściwy i dziki. Zrazu była to jedna tylko przygodna nuta, drgająca w powtórzeniu, czysta i szklista, nuta, która przypominała noc w miejscu ustronnem. Wraz poza nią, jako podłoże dla niej, powstał dźwięk szeleszczący, jak gdyby lasu trzcin, których szum był rytmiczny. W to wkradł się urwany śpiew cienkiego instrumentu z dźwiękiem sielskim i starożytnym, jak dźwięk oboju, lecz niklejszy i kruchszy. Drżenie łagodnie trącanych strun podtrzymywało tę dziką i patetyczną wymowę, a potem—prawie zduszone uderzenia małego tam-tamu, który musiał być umieszczony gdzieś w odległości. Były one, jak bicie serca.

Hrabia i jego goście przysłuchiwali się, siedząc w milczeniu. Domini ogarnęło uczucie ciekawego oczekiwania, nie mogła jednak jeszcze dociec dziwnej melodyi. Miała wrażenie, iż za tą muzyką musi nastąpić jakaś inna, którą już słyszała przedtem, która poruszyła ją niegdyś głęboko w życiu. Spojrzała na hrabiego i zauważyła, iż patrzy na nią z wyrazem filuternym, jak gdyby był uczestnikiem miłego spisku, którego plan miał się za chwilę ujawnić.

— Co to takiego? — zapytała cicho Domini.

Pochylił się ku niej.

— Proszę poczekać — rzekł szeptem.—Słuchajmy.

Ujrzała, że Androwski ściągnął brwi. Twarz jego skurczyła się w wyrazie bólu, i Domini pytała siebie, czy i on, jak niektórzy europejczycy, znajduje tę dzikość muzyki pustyni brzydką i nawet szarpiącą nerwy. Gdy tak siebie pytała, począł śpiewać głos, wciąż w towarzyszeniu czterech instrumentów. Był to głos kontraltowy, lecz dźwięczał, jak głos młodzieńca.

— Co to za śpiew?—zapytała, wstrzymując oddech.—Napewno słyszałam go gdzieś.

— Nie poznaje pani?

— Zaraz...

Szukała w myśli. Zdało jej się, że znała tę pieśń. W jakimś okresie życia była napewno głęboko wzruszona tą pieśnią — lecz kiedy? gdzie? Głos urwał i po nim rozbrzmiał wraz chór słodki, śpiewający jednostajnie:

„Wurra—Wurra".

I potem wzniósł się raz jeszcze sennym i umilkającym nawrotem, jak głos duszy, spowiadającej się przed sobą w pustyni, ponad muzyką i chórem szemrzącym.

— Przypomina sobie pani? — wyszeptał hrabia.

Skinęła głową przytwierdzając, lecz nic nie wyrzekła. Nie mogła mówić. Była to ta sama pieśń, którą nucił ongi arab, kiedy zawrócił w cień drzew palmowych, pieśń murzynów wyzwolonych z Tuggurtu:

„Nikt, prócz Boga i prócz mnie,
Nie wie, co w mem sercu".

Ksiądz oparł się o tył krzesła. Ciemne jego oczy patrzały w dół, a jego chude, spalone słońcem ręce złożyły się, jak w modlitwie. Czyżby ta pieśń pustyni czarnych ludzi, dzieci Boga, jak on, podług słów pieśni, poruszyła duszę jego do jakiejś poważnej prośby, która objęła potrzeby całej ludzkości?

Androwski siedział bez ruchu. Patrzał również wdół, i powieki pokrywały jego oczy. Wyraz rozterki wciąż jeszcze był widoczny na jego twarzy, lecz teraz był on mniej okrutny i już nie szarpiący, lecz melancholijny. A Domini, gdy słuchała, przypomniała sobie dziwny krzyk, który powstał w niej, kiedy arabowie zniknęli w blasku słońca, krzyk duszy śród życia, okrążonego tajemnicami, stąpaniami, głosami ukrytych rzeczy: „Co stanie się tutaj ze mną?" Lecz krzyk ten powstał w niej, znalazł w niej słowa, jedynie w obecności pustyni. Przedtem, być może, był ukryty w łonie. I tylko wtedy się zrodził. I oto znowu przeszły dni i noce, i śpiew sprowadził raz jeszcze ten krzyk, krzyk i raptownie jeszcze coś, inny głos, który, daleki stąd, zdawał się dawać odpowiedź. Odpowiedzi tej atoli nie mogła dosłyszeć. Słowa jej były ukryte w łonie, jak ongi słowa natężonego pytania. Lecz czuła, że odpowiedź była dana. Przyszłość znała ją i poczynała próbować mówić jej. Gdy wsłuchiwała się, była na skraju wiedzy, lecz nie mogła podążyć w ten kraj czarodziejski.

Hrabia Anteoni przerwał milczenie, zwracając się do księdza:

— Ksiądz niewątpliwie słyszał już ten śpiew?

Ksiądz Roubier potrząsnął głową.

— Nie zdaje mi się, ale ja nigdy nie mogę zapamiętać muzyki arabskiej.

— Może nie lubi jej ksiądz?

— O, nie. Jest ona, co prawda, brzydka, lecz ma bardzo wiele wyrazu. Szczególnie w tej pieśni jest coś, dla czego możnaby nazwać ją nawet piękną.

— Zachwycająco piękną—rzekła Domini głosem zniżonym, wciąż się wsłuchując do pieśni.

— Słowa są prześliczne — rzekł hrabia, tym razem zwracając się do Androwskiego. — Nie umiem ich w całości, lecz poczynają się tak:

„Gazela w wodzie m...
I ryba mrze w powietrzu.
A ja w pustyni piaskach mrę
Z miłości, która ściga mnie."

I gdy chór ozwie się, jak obecnie — tu zrobił ruch ręką ku przyległej komnacie, skąd znów poczynał się nizki szmer „Wurra—Wurra" — śpiewak powtarza wciąż tę samą zwrotkę:

„Nikt, prócz Boga i prócz mnie,
Nie wie, co w mem sercu."

Prawie jednocześnie z jego słowami głos kontraltowy począł śpiewać zwrotkę. Androwski obrócił się blady. Na czole jego były krople potu. Podniósł do ust szklankę z winem, i ręka jego drżała tak, że trochę wina rozlało się na obrus. I oto, jak raz już przedtem, Domini uczuła, iż, co ją poruszało głęboko, poruszało również jego jeszcze głębiej, czy atoli w ten sam sposób, czy w inny, nie mogła powiedzieć. Przyszło jej na myśl porównanie łojówki i pochodni. Ujrzała Androwskiego, jakgdyby okrążonego ogniem. Gwałtowność jego była iście podobną do gwałtowności Afryki. Było w niej coś strasznego, lecz zarazem i coś szlachetnego, bowiem nastręczało pojęcie męzkiej siły, która mogła czynić źle lub dobrze, lecz która nigdy nie mogła czynić rzeczy małych. Hrabia Anteoni i ksiądz zmaleli przy nim na chwilę, jak gdyby znaleźli się w obecności z olbrzymem.

DCN.

TREŚĆ NUMERU 26-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Majowe święto. *Włodz. Perzyński.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY 1907